

Angélica Lopes

KORONCZARKI

Klątwa rodziny Flores





Angélica Lopes

KORONCZARKI



Klątwa rodziny Flores



Z JĘZYKA PORTUGALSKIEGO PRZEŁOŻYŁA
Katarzyna Mojkowska



TYTUŁ ORYGINAŁU:
A maldição das Flores

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik
Wydawczyni: Monika Rossiter
Redakcja: Ewa Kosiba
Korekta: Ewa Popielarz
Okładka: obraz olejny Moniki Zdaniewicz-Wiewiorowskiej
Projekt graficzny: Tomasz Majewski
DTP: pagegraph.pl

Copyright © Angélica Lopes, 2022

Copyright © 2024 for the Polish edition by Mova an imprint of Wydawnictwo Kobiece
Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Katarzyna Mojkowska, 2024

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2024
ISBN 978-83-8371-015-0

Grupa Wydawnictwo Kobiece | www.WydawnictwoKobiece.pl



KILKA SŁÓW OD TŁUMACZKI

Chociaż *Koronczarki* to przede wszystkim wspaniała powieść obyczajowa, nie sposób nie zwrócić uwagi na miejsce, czas i kulturę, w ramach których dzieje się akcja, a które są egzotyczne dla polskich czytelniczek i czytelników. Chciałabym wspomnieć więc o kilku zjawiskach, żeby ułatwić i uprzyjemnić lekturę.

Akcja powieści toczy się w Brazylii, teraz i sto lat temu. Trudno jednak mówić o „jednej Brazylii”, kiedy jest to kraj niewiele mniejszy od Europy. Mieszkańcy bardzo silnie identyfikują się z regionami pochodzenia, rozpoznając po akcencie stan czy miasto, z którego jest rozmówca (co wie każdy widz „Love is Blind. Brazil” na Netfliksie). Bohaterki planu historycznego powieści mieszkają w Pernambuco, dlatego „stolicą” dla nich jest miasto Recife, a nie Rio de Janeiro (czy, jak dziś, Brasília).

Brazylia kojarzy nam się z karnawałem, tropikami i sambą, lecz kraj ten ma wiele oblicz. Jednym z nich, niezwykle ważnym dla brazylijskiej kultury, jest *sertão* – miejsce

akcji naszej historii. Określa się w ten sposób region w północno-wschodniej części kraju, wielki, suchy i nieprzyjazny – najprościej przywołać sobie kadr z westernu, a znajdziemy się w zbliżonej rzeczywistości. Pojedyncze miasteczka, pojedyncze fazendy, czyli gospodarstwa zamożnych posiadaczy ziemskich, otoczone są bezkresną *caatingą*, jak nazywa się suche, dzikie zarośla. Hoduje się tam bydło, a uprawia niewiele – tyle, by dało się przeżyć. *Sertão*, podobnie jak Dziki Zachód, słynął niegdyś z przestępczości. Zjawisko *cangaço*, brutalnych szajek grasujących od miasta do miasta w poszukiwaniu łupów, również zostaje wspomniane w powieści. Najsłynniejszym ówczesnym bandziorem był niejaki Virgulino Ferreira da Silva, znany jako Lampião, który w pewien sposób będzie miał do czynienia z jedną z bohaterek książki.

Niektóre czytelniczki i czytelnicy mogą być zaintrygowani, czemu tak ważnymi postaciami w lokalnej społeczności są dziedzic i komendant. Otóż niedługo po tym, jak proklamowano w Brazylii republikę (1889), rozpoczął się w kraju okres silnego rozdrobnienia rządów na rzecz władzy lokalnej. Nasilające się nepotyzm i korupcja sprawiły, że nad regionami panowały najbogatsze rody, najczęściej wywodzące się z kolonialnych fortun. Dziedzicem takiej właśnie fazendy jest jeden z bohaterów powieści, zaś komendant policji, jako mniej wpływowy obywatel, musi być wobec niego posłuszny.

Pernambukańskie koronczarki naprawdę istnieją, a kunsztowne robótki igielkowe, tzw. renda reascença (inne od

szydełkowych koniakowskich czy klockowych z Bobowej) pochodzą z tradycji włoskiej. Zachęcam, by popatrzeć na YouTube, jak plotą!

Życzę wielu pełnych emocji chwil wplecionych w wątki tej klimatycznej powieści.

Katarzyna Mojowska, tłumaczka

1

TO ZAWSZE BYŁ AKT BUNTU, CHOCIAŻ NIEWIDZIALNY

Wiedziałyśmy, że to, co robimy, jest obarczone ryzykiem. Początkowo było ono niewielkie, raczej niedostrzegalne dla niewprawnego oka, bo wplecione w koronkowe motywy, które w ogromnej tajemnicy umieszczaliśmy na naszych chustach i welonach. Może jednak właśnie to niebezpieczeństwo, że zostaniemy zdemaskowane, sprawiło, iż nabierałyśmy śmiałości, by ryzykować coraz bardziej i bardziej.

Nie wszystkie byłyśmy spokrewnione, ale łączyło nas wytwarzanie unikalnych wzorów z nici i tasiemek. Plotłyśmy je tutaj, na tym skrawku ziemi, gdzie detale są istotniejsze niż wielkie wydarzenia, gdzie gliniasta gleba jest poorana zmarszczkami jak twarz mojej Ciotki Firminy (w obu przypadkach za sprawą czasu i doznanych krzywd) i gdzie kobiety spotyka los prosty i szorstki niczym niedoskonały rewers koronki. Tylko przy robótce możemy mieć

pełną kontrolę – nad nicią. W innych kwestiach nie mamy zbyt wiele do powiedzenia.

Sztukę tę opanowałyśmy dzięki mojej przyjaciółce Vitorinie, która przycupnąwszy u góry schodów, podpatrzyła ową tajemną umiejętność u pewnej gościni ze stolicy Perambuco.

– Co tam robisz, złotko? – spytała Dona Hildinha, kiedy przyłapała córkę z nosem w szparze przy stropie pokoju gościnnego.

– Niech mama da mi spokój! Uczę się pewnej sztuki, która musi być bardzo cenna.

I tak oto technika wyplatania koronek, jakie od stuleci zdobiły ołtarze w Europie – sekret znany jedynie mniszkom z wielkowiejskich klasztorów – dzięki ciekawości Vitoriny zawędrowała do naszego miasta, Bom Retiro.

Był to zwykły przypadek, tak splotły się nici przeznaczenia, z których jedną przywiozła ze sobą w gości kuzynka kuzynki jednej z kuzynek Vitoriny. Nigdy nie wybaczyła mojej przyjaciółce, że była ona tak nielojalna i wykradła jej sekret.

Dziewczyna ta pracowała jako podkuchenna w klasztorze, w którym panował bardzo surowy rygor. Służyła tam dobrze przez wiele lat i zaskarbiła sobie zaufanie sióstr, a te nauczyły ją koronczarskiego rzemiosła. Początkowo ostrożne zakonnice pokazały jej jedynie podstawowe ścięgi, ale później, dzięki skrupulatnej obserwacji siły charakteru dziewczyny, uwierzyły jej na tyle, by zademonstrować te bardziej wyszukane.

Mawiano, że kuzynka Vitoriny miała „rękę do koronki”, a na dodatek umiała zachować dyskrecję, co było nieodzowną cechą strażniczek tego sekretu. Kiedy zbliżał się koniec roku, a wraz z nim święta, dziewczyna zapowiedziała, że wyjeżdża w odwiedziny do krewnych w interiorze. Wówczas siostry doradziły jej:

– Jeśli miałabyś tam siadać do robótek, rób to tak, by nikt nie widział.

Dziewczyna zawsze odnosiła się z szacunkiem do swoich przełożonych i posłusznie stosowała się do tego nakazu. By dotrzymać obietnicy złożonej przed obliczem świętych, kuzynka kuzynki jednej z kuzynek Vitoriny wykonywała koronki samotnie w pokoju gościnnym, przy świetle pożółkłej świecy lojowej, która oświetlała jej robótkę.

U góry schodów czyhała jednak Vitorina, zdeterminowana, by odkryć, co też porabia kuzynka w izdebce przy zamkniętych okiennicach, choć na dworze świeci południowe słońce.

Śledziła każdy jej ruch, aż udało jej się spamiętać je wszystkie.

Pochylona nad poduszką w kształcie wałka, kuzynka splatała nici, tworząc w ten sposób obrazy złożone z przeróżnych ściegów.

Dwa węzełki, miotełka, wieża, żyłka. Pajęczki, księżyc, bąbelki.

Zmierzch, pewna miłość i mój ulubiony ścieg, dno koszyka, w którym zachwycała mnie nie tyle forma, ile nazwa zawierająca w sobie zarazem groźbę i obietnicę. Dno

koszyka – niezbadany, nieznaný obszar, w którym może się kryć zarówno szczęście, jak i coś wręcz przeciwnego, srebrna moneta lub skorpion, a dowie się tego jedynie ten, kto odważy się zaryzykować i włożyć rękę do jęgo wnętrza.

Tak naprawdę w tamtych czasach nie określało się ściegów w ten sposób. Kiedy dotarły tutaj, do doliny rzeki Pajeú, nosiły zagraniczne nazwy, których nigdy nie było nam dane poznać. Z czasem jednak, gdy je opanowywałyśmy, zauważyłyśmy ich podobieństwo do różnych rzeczy i tak nadawałyśmy im kolejno imiona, jakby od zawsze należały do nas.

W niektóre popołudnia, gdy pochylałam się nad wałkiem koronkarskim, fantazjowałam, jak nazwałabym własny ścieg, gdybym przypadkiem takowy wynalazła. Nie żeby było to moją ambicją. Wystarczy jednak chwila nieuwagi i igła zaplątuje się w nić, wbija tam, gdzie nie trzeba, i proszę: nowy ścieg.

Byłby to pierwszy ścieg narodzony na naszej gorącej ziemi, na *sertão****, a nie w leżącej za wielkim morzem obcej krainie, z której przywiozły do nas tę sztukę mniszki, a Vitorina podpatrzyła ją, siedząc u góry schodów.

Strumyk, rosa, jutrzienka.

Takie nazwy wybrałam w sekrecie dla moich pierwszych ściegów, jakie miałam nadzieję wynaleźć. Narodziłyby się w wysokiej *caatindze*** – podobnie jak *Virgulino****, który

* *Sertão* – region w północno-wschodniej części kraju, wielki, suchy i nieprzyjazny (przypisy pochodzą od tłumaczki).

** *Caatinga* – suche, dzikie zarośla.

*** *Virgulino Ferreira da Silva*, znany jako *Lampião*, przywódca *cangaço*, szajki grasującej w poszukiwaniu łupów w latach 20. i 30. XX wieku.

w tamtym czasie, w roku pańskim tysiąc dziewięćset osiemnastym, dopiero stawiał pierwsze kroki w przestępczym życiu, choć wiele lat później miało być o nim głośno również w Bom Retiro. Historia mężczyzn jest hałaśliwa, jakże inna od naszej toczącej się prawie niedostrzegalnie, w ciszy przeplatanej szeptem.

Zawsze wierzyłam, że kiedy zobaczę ten swój własny, odkryty przeze mnie ścieg, od razu będę wiedziała, na co wygląda. Tak jak matki mają z dziećmi. Jeśli postąpią inaczej, ponoszą ryzyko, że nadadzą latorośli nieodpowiednie imię. Wybiorą na przykład Nonato na cześć dziadka, a dzieciak przez całe życie będzie się upierał, że wygląda jak Casemira. Dlatego tyle osób na świecie dostaje przezwiska. Rzeczy same wybierają sobie nazwy, nie nadają ich ludzie.

I tak, kiedy kuzynka kuzynki jednej z kuzynek Vitoriny wróciła już do klasztoru, sekret podpatrzony przez szparę w stropie zaczął być przekazywany każdemu, kto tylko był gotów się uczyć. Niebawem pewna grupka kobiet – do której dołączyłam i ja – zaczęła się codziennie spotykać, by wytwarzać obrusy, bieżniki, serwety na tace i wyjątkowo misterne chusteczki.

Nie minęło wiele czasu, a jeden z naszych wyrobów trafił do stolicy stanu. Został ofiarowany w prezencie pewnej wysoko urodzonej damie, która pochwaliła się nim innej wysoko urodzonej damie, a ta z kolei, przy zastawionym do podwieczorku stole, pomiędzy maślanym herbatnikiem *sequilho* a budyniową tartaletką *queijadinha*, pokazała go jeszcze innej wysoko urodzonej damie.

– Widzicie, jaki ideał? To koronka z zabitego dechami miasteczka nieopodal Serry Talhady, a wygląda jak zrobiona w Europie. Może da się je stamtąd sprowadzać?

I zaraz się okazało, że owszem, da się.

Kiedy damy z zacnych rodów czymś się zainteresują, zawsze znajdzie się ktoś, kto to wykorzysta. One będą miały to podane na tacy, a on przy okazji zgarnie swój procent.

Kilka tygodni później przybył do naszego miasteczka mężczyzna w ciemnym garniturze, pocąc się bardziej niż tutejsi, i oznajmił, że zamierza kupować od nas robótki za cenę słuszną dla obu stron.

Osobą odpowiedzialną za kontakty z nim została Ciotka Firmina. Była z nas wszystkich najstarsza, nie miała dzieci, które zajmowałyby jej czas, i mogła sobie pozwolić na wielogodzinne spisywanie zamówień i prowadzenie rachunków, a następnie równe obdzielanie nas zyskami.

– Gdyby nie ja, ten delikwent zrobiłby was wszystkie w bambuko. Chciał kupić odświętny obrus za jakieś grosze, jeszcze czego! Całe szczęście, że jestem i bronię naszych interesów – puszyła się.

Kiedy na stole wylądowały pierwsze monety przywiezione przez mężczyznę w ciemnym garniturze, oglądałyśmy je z podziwem, oczarowane. Ta chwila wydawała się trwać wiecznie. Miałyśmy wrażenie, że nie należą do nas, niczym eksponaty w muzeum opatrzone tabliczką „Proszę nie dotykać”.

– To wszystko nasze? – zapytała Vitorina z niedowierzaniem.

Dotychczas wyrób koronek był dla nas jedynie sposobem spędzania upalnych wieczorów.

Niektóre z nas wykonywały je dla siebie – plotły całe suknie na bale, które nigdy się w naszym mieście nie odbywały.

Inne przygotowywały narzuty na posag, choć jeszcze nie wydawano ich za mąż.

Wyjątkiem była Ciotka Firmina, która z poświęceniem pracowała nad własnym całunem.

– Przekroczę bramy niebios z elegancją, na jaką zasługuje Nasz Pan Jezus Chrystus – oznajmiała, a nam zdawało się, że podejrzenie nie może się doczekać chwili, którą wszyscy pragną raczej odsunąć w czasie.

W naszej świadomości pieniądze były domeną wyłącznie mężczyzn. To oni zajmowali się ziemią i bydłem. To oni tę ziemię i bydło posiadali. To oni parali się handlem, chuligaństwem czy komiwojażerką. To oni byli naszymi mężami, ojcami, braćmi. Pieniądze zawsze należały do nich.

My, kobiety, jedynie sprzątałyśmy po nich ze stołu lub wydawałyśmy polecenie, by zrobiły to inne kobiety. To nazwiska mężczyzn wpisywano do naszych aktów urodzenia i ślubu, to one określały nasze miejsce w świecie.

Tak było w większości przypadków, lecz w mojej rodzinie sprawy miały się inaczej.



Wielu wierzyło, że nad Floresównami ciąży klątwa, rzucona w zamierchłej przeszłości przez pewną Cygankę. Dla nas jednak było to czymś naturalnym, że w naszym najbliższym otoczeniu nie ma mężczyzn.

– Biedaki, nie są zbyt długowieczni – wyjaśniła tę sprawę matka mnie i mojej siostrze, kiedy tęskniłyśmy za ojcem, który przed ukończeniem trzydziestu pięciu lat zmarł na malarię.

Kochała go z całego serca, podobnie jak i własnego ojca, a mojego dziadka, a później także synka, najmłodszego z mojego rodzeństwa, który nie dożył roku.

Matka powtórzyła jej wyjaśnienie, które sama usłyszała kiedyś od własnej matki, że mężczyźni będą w naszym życiu zawsze tylko gośćmi. Wpadną na pospieszną wizytę, z góry uprzedzając, że długo nie zabawią. Wystarczy sama kawa, nic więcej, dziękuję bardzo – i już chwytają kapelusz, zbierając się do wyjścia.

Żenili się z nami, rodzili się z naszych łon, lecz gdy minęło kilka lat, po prostu odchodzili przejęci jakimś wcześniejszym zobowiązaniem, czymś, co mieli do załatwienia jako następne w kolejności. Umierali nieodwołalnie jako ofiary morderstw, zaginięć lub wysokiej gorączki. Rozstawali się z życiem młodo, może czasem w średnim wieku, ale nigdy nie widywałyśmy ich twarzy pooranych zmarszczkami ani włosów oprószonych siwizną.

Byłyśmy dla nich dobrymi gospodyniami. Wiedziałyśmy, że podczas ich wizyty na tym świecie mamy powinność zapewnić im jak najwięcej swobody i jak najczulej ich

pożegnać, gdy wybije ich ostatnia godzina. Już w chwili naszego spotkania w naszej piersi rodziła się tęsknota, bo wiedziałyśmy, że będzie ono niedługie.

Gdy usta mojej matki zetknęły się po raz pierwszy z ustami mojego ojca podczas obchodów święta ku czci Świętej Agaty, zachwyty chłopakiem splótł się z niepokojem, że teraz pozostał im jeden pocałunek mniej z niezliczonej sumy przeznaczonych im pocałunków. Musiała cieszyć się nimi z całego serca.

Równie naturalnie, jak przyjmowałyśmy ich przybycie, zabierałyśmy się do porządkowania domu na pojawienie się kolejnego gościa, gdy tylko położyłyśmy białą różę na płycie nagrobnej poprzednika. Niebawem miał się rozpocząć kolejny cykl, zwieńczony równie przedwczesnym pożegnaniem. Byłyśmy nawykłe do tego sposobu życia i nie cierpiałyśmy z powodu takiego, a nie innego losu ani nie dociekałyśmy jego przyczyn. Tutejsi mówili, że to „klątwa Floresówien”.

Mieszkańcy Bom Retiro często przyglądali się nam, mijając nas na ulicy – ze współczuciem lub plotkarską ciekawością. Dobrotliwi ubolewali, że nie ma kto się nami zaopiekować, ponieważ sądzili, że kobiety potrzebują kogoś bardziej kompetentnego niż one same, żeby mogły przeżyć. Ci podejrzliwsi uważali zaś, że musiałyśmy popełnić jakiś grzech, skoro zasłużyłyśmy sobie na taką karę. Komentarz: „Nie dajcie się zwieść. Coś musiały nabroić”, i to nie zawsze za naszymi plecami.

Moja matka nie pozwalała, by urywki zasłyszanych cza-sem w kościele zdań zatruwały jej życie.

Sięgnij po więcej!



 www.mova.com.pl

 facebook.com/wydawnictwo.mova

 instagram.com/wydawnictwomova